Rok VII. Myślenice, luty 1939. Nr. 1.

GŁOS MŁODYCH

ORGAN GMINY SZKOLNEJ PAŃSTWOWEGO LICEUM i GIMNAZJUM
im. TADEUSZA KOŚCIUSZKI w MYŚLENICACH.

Na skon Ojca Świętego Piusa XI.

10-go lutego 1939 r. o godz. 5,31 zgasło serce Najwyższego Dostojnika Kościoła katolickiego i Największego Męża Stanu doby obecnej, Ojca św. Piusa XI. Zamknęły się na zawsze sędziwe powieki nad jasnymi oczyma niestrudzonego Ojca i Pasterza — po osiemdziesięciu dwóch latach życia a siedemnastu latach panowania nad Watykanem.

Żałobna ta wieść okryła cały świat głębokim smutkiem, a przede wszystkim naszą Ojczyznę, którą Ojciec św szczególniej ukochał.

Wiele bowiem wypadków złączyło imię Piusa XI. z Polską. Z Polską i Polakami przeżył wiele chwil radosnych i smutnych, które pozostawiły niezatarte wspomnienia w Jego sercu. U nas z rąk kardynała Kakowskiego otrzymał sakrę biskupią. Z nami przebywał w czasach najbardziej krytycznych jako Nuncjusz Apostolski. Podczas Jego pobytu w Polsce parła na naszą Ojczyznę czerwona nawała bolszewicka, niosąca pożar i zniszczenie na cały świat. W ciężkich dniach sierpniowych, gdy wróg zbliżał się do murów Warszawy, wielu przedstawicieli obcych państw zaczęło opuszczać zagrożoną stolicę. Pytano wtedy nuncjusza Achillesa Ratti'ego, dokąd zamierza się udać — odpowiedział korpusowi dyplomatycznemu, że nie opuści powierzonego mu stanowiska, dopóki ostatni żołnierz nie wycofa się z miasta. I został, by walczącemu o swe życie narodowi w gorących modłach wypraszać u Boga zwycięstwo.

W rok po świetnym pogromie czerwonej armii opuścił Achilles Ratti stolicę, żegnany przez wszystkich ze smutkiem.

Podczas swego kilkuletniego pobytu w Polsce zaznajomił się nuncjusz Ratti z całą naszą Ojczyzną. Był w miejscach najdroższych każdemu Polakowi. Zwiedził Częstochowę i Kraków. Chętnie obcował z polskim ludem, niosąc pomoc ubogim. Swoim postępowaniem zaskarbił sobie serca wszystkich Polaków. To też gdy został powołany na tron papieski — cieszyła się cała Polska. „Mamy polskiego papieża" — mówiono.

Dziś nie ma go już na świecie. Święta Jego dusza opuściła utrudzone ciało, by udać się do Boga po zasłużoną nagrodę.

Erwin Dziaszek (I. lic.)
Sodalis Marianus.

✝

STANISŁAW MATYJA

Profesor Państwowego Liceum i Gimn. im. T. Kościuszki w Myślenicach

zmarł 8 stycznia 1939 r.

Cześć Jego pamięci!

Wspomnienie pośmiertne o ś. p. profesorze Stanisławie Matyji.

„Salve domine, magister noster!" — zgodnym chórem wita klasa wchodzącego profesora Matyję. „Salvete puellae et iuvenes!" odpo-

wiada profesor i z wielką powagą zajmuje miejsce za katedrą i wpisuje do dziennika lekcję, nie zapomniawszy rzucić ruchliwej młodzieży tradycyjnego: „spokój jak makiem posiał!“ Rozmowy cichną, każdy napina uwagę, przypomina sobie wyjątki deklinacyjne, konjugacje, słówka, tekst—całość łaciny od pierwszej klasy. Na pierwszy ogień idą ci, co nie mieli czasu względnie ochoty nauczyć się zadanej lekcji. O! pan profesor dokładnie wie, którzy to są, tylko rzuci okiem po klasie. Mimo jego srogiej miny oczy młodzieży spoglądają nań z ufnością i życzliwością. O! bo młodzież wie, że pod maską surowego Katona kryje się dobry przyjaciel, znający ją i rozumiejący doskonale jej troski i dążenia. Ileż w nim pobłażliwości i wyrozumiałości dla młodzieńczych wybryków, ile cierpliwości w przeszczepianiu w serca „pannic“ i „chłopaków“ ideałów starożytnych. Jednego tylko nie może znieść, a to rozmyślnego leniuchowania i ciągłego oszukiwania. On chce przyzwyczaić młodzież do pokonywania trudności w życiu—przez przezwyciężanie ich w łacinie, jak również chce ją nauczyć rzetelnego i szczerego postępowania. Dlatego to „podejrzani“ nie mogą znieść jego badawczego spojrzenia, nie mogą mu spojrzeć prosto w oczy.

Tak! Profesor Matyja to był wielki przyjaciel młodzieży. Nigdy nie trzeba go było prosić dwa razy o radę czy pomoc w jakimś przedsięwzięciu, nigdy o wzięcie udziału w zebraniu czy zabawie. A przychodził zawsze z wielkim zasobem zdrowego humoru, pochodzącego z umiłowania młodzieży i zżycia się z nią. Jej radość była jego radością, jej troski przejmowały go więcej niż ją samą.

Nawet złożony ciężką chorobą nie zapomniał o swojej młodzieży. Tuż przed świętami pisze do I. klasy licealnej, której był opiekunem, serdeczny list, zapowiadając w nim ku radości całej klasy swe rychłe przybycie.

Nie wiedział, niestety, że Pan Bóg jeszcze przed zakończeniem ferii świątecznych powoła go do Siebie, że nie pozwoli mu już spojrzeć na szeregi ukochanej młodzieży.

Smutna wieść powitała uczennice i uczniów wracających po feriach w mury szkolne: profesor Matyja nie żyje!

I wyszły przed niego długie kolumny granatowych mundurków, aby go odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku, pożegnać na zawsze. W młodych sercach coś się buntuje, coś się rwie.. To niemożliwe!.. Niestety—już nigdy!.. Na zawsze!..

Rozpłakały się nad nim dzwony, rozełkały serca młodzieży. Ostatnie słowa pożegnalne—płacz—i złożono go w cichej mogile na wieczny, zasłużony spoczynek.

Kochany Panie Profesorze! Śmierć nam Cię bezlitosna wydarła, ale my wierzymy, że Ty żyjesz, że pamiętasz o nas, że nas kochasz jak dawniej! Że jesteś dalej naszym Przyjacielem, naszym Ojcem, naszym „Panem Profesorem". Wierzymy i wierzyć będziemy, my Twoi wychowankowie, „pannice" i „chłopaki" Twoi, gdyż zawsze Cię kochać będziemy, zawsze pamiętać o radach i wskazówkach, jakie wszczepiałeś w nasze serca. Obyśmy się okazali godnymi Twej pamięci.

Niech Cię Bóg nagrodzi sowicie za wszystko, „nasz kochany Panie Profesorze!"

M. Kochanówna (1 lic.)

Nareszcie!..

Nareszcie po kilku miesiącach zupełnego milczenia zawitał znowu w mury szkolne Wasz stary i dobry przyjaciel — „Głos Młodych":

Nareszcie ocknęła się z twardego i głębokiego letargu nasza gazetka szkolna i dziś po raz pierwszy w tym roku szkolnym pozdrawia Was i wita. Niejednemu przypomina sie jako powiernik myśli i uczuć, dla drugich, zwłaszcza najmłodszych, jest jeszcze czymś nieznanym i nowym.

Co było powodem tej długiej przerwy w wydawaniu „Głosu Młodych", wszyscy aż nadto dobrze wiecie. Zaledwie kilka jednostek było gotowych do pracy na tym polu, reszta kolegów i koleżanek okazała jakąś dziwną obojętność czy niechęć.

Obecnie pragnąc pobudzić nasze pisemko do nowego życia, zwraca się Komisja redakcyjna „Głosu Młodych" do wszystkich kolegów i koleżanek z gorącym wezwaniem do żywej współpracy.

Wszak „Głos Młodych" to nasz wspólny pamiętnik, w którym powinny się odzwierciedlać wszystkie nasze wysiłki, trudy, chwile smutne i wesołe, spędzone razem na ławie szkolnej. Niech każda

koleżanka i kolega podzieli się w gazetce z innymi swymi przeżyciami, spostrzeżeniami i humorem. Nawet ci najmłodsi, którzy dopiero w tym roku wkroczyli w progi naszej szkoły, niech spróbują swoich sił.

A więc do pracy — gazetka czeka!

Redakcja.

Nasze hasła.

Razem musimy naprzód iść
W jedności, zgodzie ducha.
Radość i światło z sobą nieść
Tam, kędy dmie zawierucha!

Dobyć musimy wszystkich sił
I wspólną pracą przykład dać,
By jakiś ślad i po nas był,
By pracę naszą było znać!

Nie wolno nigdy gnuśnieć nam,
Do lotu orłów powstać czas!
Zwalczyć musimy zło i kłam.
Bo siły duże są i w nas!

J. Stochówna.

Krwawym szlakiem.

(Wspomnienia z pierwszych bojów V. Dywizji Syberyjskiej — według opowiadania mego ojca).

Kiedy na polskiej ziemi pod wodzą Komendanta Legiony składały resztki krwawej ofiary dla wolności Ojczyzny, daleko nad Wołgą we wschodniej Rosji w czerwcu 1918 r. tworzyć się zaczęło wojsko polskie.

W ekstatycznym porywie miłości Ojczyzny stawali w szeregi Polacy, przeważnie jeńcy wojenni, aby w kraju odwiecznego wroga skupić swe siły i walczyć orężnie z nawałą germańską, co — jak się później okazało — skończyło się na walce z bolszewikami.

Byłem wówczas w Kazaniu, gdzie prowadziłem bibliotekę Czerwonego Krzyża amerykańskiego i duńskiego i od czasu do czasu

pracowałem w tamtejszej kolonii polskiej, cierpiąc przy tym ogromny niedostatek.

W dniu 5. sierpnia już dobrze miało się ku zachodowi, gdy batalion czeski począł zdobywać Kazań. Huk armat, zmieszany z grzmotami i świstem wichru, słupy dymu palącej się fabryki farb i olejów naprzeciw domu, w którym chwilowo mieszkałem, trzask belek, krzyki konających ludzi — wszystko to tworzyło istne szalejące piekło.

Pożar rósł, zielonoszare kłęby dymu unosiły się nad miastem i zakrywały drewniany meczet i strzelisty minaret, na którym pobożny mułła donośnym głosem wzywał swego Allaha o zmiłowanie. Przejmujące wołanie: „Ałłah ekber Ałłah la illaha illalah mehemendum ressullahi!" — Bóg bardzo wielki, nie ma Boga nad Boga a Mahomet prorok Jego — brzmią mi po dziś dzień w uszach. Przeraźliwe, złowieszcze błyskawice przerywały czarne, groźne piorunujące niebo, a wicher wył, unosząc w górę pył i dymy. Zdawało się, że miasto wali się w gruzy jak ongiś za Attyli czy Dżyngishana, bo starły się ze sobą niebo i ziemia, chmury i wicher, pioruny, pociski armat, złość i chciwość ludzka.

Dreszcz febryczny wstrząsał moim zmizerowanym ciałem. Gdy słońce zaszło, Kazań zdobyli Czesi, tylko na ulicach leżały pokotem ciała — jako owoc ludzkiej furii i zemsty.

Zdobywszy miasto zdradą przy pomocy krasnoarmiejców Serbów, Czesi wnet zabrali się do roboty. Robota szła gorączkowa i według planu z góry ułożonego przez dobrze mi znanego Jana Nemca, profesora uniwersytetu pragskiego. Dzień i noc przez dwa tygodnie wywozili Czesi złoto na autach, furmankach i tramwajach do portu kazańskiego, a stamtąd okrętem do Samary i Władywostoku. Złoto to ukryte było w starym zamku potatarskim, a wywiezione zostało z banków moskiewskich w czasie światowej wojny.

W kilka dni potem z kilkoma kolegami opuściłem Kazań i na okręcie czeskim udałem się do Samary. Nasz „Aleksander II." — tak nazywał się ten statek — pruł brudne wody starej Atyli — Wołgi, które pluskały cichutko o czarne brzegi porosłe łoziną, jakby opowiadały cierpliwie długą historię krwawych bojów tej nadwołżańskiej krainy. Osadzista rufa statku ślizgała się po drobnych falach między dwojgiem kolisk łopatkowałych, które wierciły szybko wodę i cięły ją zawzięcie. Na powierzchni wody powstawały za statkiem dwie

bruzdy jakby pługiem wyorane a czerwone stożkowate boje, jak psy na łańcuchach podskakiwały do góry i chwiały się tak długo, aż skibki spienionej wody poginęły na kręgach rozkołysanych fal. Wzdłuż burt ślizgały się strzępy piany wodnej i z pluskiem rozbijały się o kadłub statku. Nadbrzeżne wioski, pola rozległe a równinne przesuwały się przed nami i znikały jak sen, a pojawiały się wciąż nowe a jednak zupełnie do siebie podobne. Przed nami wyciągnęła się droga prosta, równa, gładka i szeroka, ozłocona resztkami promieni zachodzącego słońca. Wkrótce zbladły odbłyski złotego słońca i nastał zmierzch, a po nim ciemna noc. Koło Symbirska, z prawego brzegu, spodziewaliśmy się napadu czerwonych band, grasujących w tej okolicy. Zgaszono wszystkie światła na statku, który odtąd płynął wolniej i ciszej, prawie bezszelestnie. Umilkło wszystko i przez okrągłe szybki okien nic nie było widać prócz bezdennej masy czarnej przestrzeni, tajemnej, niepewnej i głuchej.

Nad ranem przybyliśmy szczęśliwie do Samary, naszego miejsca przeznaczenia. W mieście brudnym jak wogóle wszystkie miasta rosyjskie, panował spokój.

Zgłosiliśmy się w kancelarii Komitetu Wojennego, gdzie nas wpisano w rejestr ochotników polskiej formacji wojskowej. Za nami z różnych zakątków imperium rosyjskiego ściągali do Samary ochotnicy, których pod zmienionymi nazwiskami wpisywano do księgi wojskowej.

Po kilkudniowym pobycie opuściliśmy Samarę i przybyliśmy do czysto tatarskiej małej mieściny Belebej. Czesi dostarczyli nam tu mundurów ze swej intendantury: jeden otrzymał buty, drugi tylko spodnie, inny rubaszkę, inny papachę lub bluzę.

Po pięciu dniach opuściliśmy Belebej i przybyliśmy do dość schludnego miasta Bogurusłan. Tam przydzielono nas do 8. kompanii I pułku strzelców im. T. Kościuszki. Zatrzymaliśmy się tam dłużej, zaprawiając się do służby wojskowej, od której już odwykliśmy. Codziennie rano wychodziliśmy poza miasto i tam na pastwiskach odbywaliśmy ćwiczenia i musztry na modłę rosyjsko — niemiecko—austriacką. Codziennie widzieliśmy objuczone wielbłądy jednogarbne, zdążające z towarem lub po towar do miasta, popędzane przez kupców tatarskich. Słyszałem często wołanie Tatarów: o ter! o ter! „Na to wołanie kładły się wielbłądy na ziemię a wstawały znów wszystkie do dalszej drogi na wołanie: „Czek! czek:"

Z dnia na dzień zwiększała się nasza ochotnicza formacja· Przybyło także i to na koniach kilkudziesięciu ułanów z Kazania. Gdy już pułk nasz był zupełny, potrzeba było ruszyć do boju.—

Późna to już była jesień, bo szron osrebrzał czuby drzew szpilkowych i zeschłą trawę, a przyroda zimno i obojętnie czekała już na przybycie śmierci—zimy, gdyśmy opuścili Bogurusłan. Wsiedliśmy do pociągów, których było szesnaście i zdążaliśmy na zachód w stronę Uralu. Pociąg za pociągiem jak nieprzerwana wstęga posuwał się przez pagórkowatą, leśną okolicę bardzo rzadko zamieszkałą. Co chwila wstęga pociągów zatrzymywała się na kilka godzin i znów ruszała naprzód.

W ciągu tej podróży koleją zdarzył się zabawny epizod. Oto w czasie postoju pociągów za stacją Abdulina wczesnym rankiem zbudzili mnie koledzy, abym co rychlej wstawał i szedł z nimi na polowanie, bo dużo dzików ukazało się opodal na leśnej polanie· Ubrałem się pośpiesznie, wziąłem karabin i kilkanaście nabojów i pobiegłem, gdy wszyscy inni jeszcze spali, z kilkoma towarzyszami w stronę dzików, które nie przeczuwając niebezpieczeństwa, swobodnie ryły ziemię i szukały żeru. Otoczyliśmy je i z odległości kilkudziesięciu kroków daliśmy do nich salwę, potem drugą i trzecią. Dziki jak szalone rzuciły się do ucieczki w różne strony. Ranione śmiertelnie spadały z pagórków na dolinkę, zrywały się znów, ale wnet robiły młynka i padały. Osiem dużych dzików charcząc przeraźliwie kończyło na polanie życie, inne gnały przez las jak opętane. Poodpinaliśmy pasy od karabinów i ciągnęliśmy zabite dziki do wagonów. Tymczasem we wagonach powstała panika. Śpiący oficerowie i żołnierze gwałtownie pozrywali się z mar, chwycili za karabiny i skierowali je w naszą stronę. Sądzili, że to oddział bolszewicki ostrzeliwuje nasze pociągi. Dostaliśmy burę, z której zresztą nie wiele sobie robiliśmy a nawet bezczelnie mówiliśmy, że w tej okolicy trzebaby częściej urządzać takie alarmy, aby żołnierzy przyzwyczaić do czujności. Naszą lekkomyślność ukarało dowództwo w ten sposób, że wszystkie nasze trofea myśliwskie skonfiskowało dla własnego wyłącznie użytku. Dłuższy czas śmialiśmy się z oficerów, że w negliżu chcieli walczyć z bolszewikami, a oni z nas, że smaczne były polędwice z dzików.

Na stacji Romanówka wysiedliśmy z pociągów. Odtąd pieszo i na furmankach zbliżaliśmy się ku przyszłemu terenowi bojów z bolszewikami. Zatrzymywaliśmy się tylko na noc w tatarskich domach,

a gdy dnieć poczynało, ruszaliśmy dalej, spotykając po drodze rzeczy porzucone przez bolszewickie oddziały. Nie chcąc stawiać nam oporu, wolały one uchodzić, aby się skupić na innym miejscu we większą siłą. Co chwila spotykaliśmy we wioskach tablice z napisem: „Towariszczi spasajte—Polaki i Angliki nastupujut." Istotnie było wśród nas kilka mniejszych oddziałów Anglików i Francuzów, którzy jednak wnet „zwiali" z frontu do Władywostoku, skarżąc się na zimno. Przebywać musieliśmy też nieraz w bród a nawet wpław wezbrane rzeki, bo brak było mostów.

Pewnego dnia listopadowego—niepomnę już dokładnej daty—przybyliśmy późnym wieczorem do baszkirskiej wsi Tagtagułowo. Mnie wypadł nocleg w domu pewnego mułły. Noc spędziliśmy tym razem na zaopatrywaniu się w cieplejszą bieliznę i mundury, bo śnieg pokrył już okoliczne pola i lasy. Zaopatrzyliśmy się w większą ilość amunicji i ręczne granaty, bo rankiem mieliśmy uderzyć na bolszewików, którzy w odległości kilku kilometrów od Tagtagułowa obsadzili wzgórza nad wsią Sardykiem. Były to oddziały z V. armii bolszewickiej, którą dowodził Uborowicz.

Doczekaliśmy się ranka. Dowódca Rumsza, Litwin, dzielny oficer b. carskiej armii, na szpakowatym koniu prowadził nas do boju. Kompanię ósmą, w której miałem zaszczyt służyć, prowadził wytrawny oficer, Emil Werner, który w największy bój szedł jakby do tańca z uśmiechem na ustach. Był to wysoki i barczysty mężczyzna, nieco przygarbiony. Z karabinem na ramieniu kroczył śmiało ze swą gromadą, pogwizdując sobie wesoło lub przyśpiewując:

Maszerują chłopcy górą i niziną,
górą i niziną,
Gdzie jest jaka karczma,
To jej nie ominą,
To jej nie ominą,

Posuwaliśmy się w górę wąską łączką, przytykającą z prawej strony do gęstego boru, z lewej zaś bieliły się od śniegu szerokie pola i pastwiska. W oddali majaczyła się we mgle tatarska wieś Sardyk, wśród której stał meczet i wysoki drewniany minaret, dobry punkt obserwacyjny dla bolszewików.

Nagle z tyłu za nami w odległości kilkuset metrów ukazał się jakiś oddział wojska, złożony z kilkudziesięciu ludzi. Dostałem wraz z kilkoma żołnierzami rozkaz zbadania go. Oddział naprzeciw nas począł się rozsypywać w tyralierę i ujrzeliśmy wymierzone ku nam

lufy karabinów. Wtem komendant oddziału gromkim głosem zawołał: „Nie strzelać — to nasi!" Była to nasza trzecia kompania, której porucznik poznał mnie po czapce. Zażenowany nieco rzekł:. Byłbym położył was trupem, gdyby nie ta biała pańska czapka! Kompania ta miała wedle rozkazu zająć las na prawo od nas, lecz czy mgła, czy też słaba orjentacja komendanta spowodowały, że wzięto nas za bolszewików. — Odtąd w dniu tym byłem łącznikiem między tymi dwoma kompaniami i szwadronem ułanów,

Wnet odezwały się karabiny ręczne i kulomioty. Z obu stron trajkot maszynek zwiększał się z każdą chwilą. Pusty świerkowy las i pagórki nad wsią Sardykiem napełniły się przeraźliwym echem. Bolszewicy zasypywali nas szrapnelami, które pękając nad nami obsypywały nas gradem stalowych odłamków i ołowianych kul. Również z minaretu odezwały się kolty i maksymki bolszewickie.

Natarcie z naszej strony było gwałtowne i dzięki temu skuteczne. Nieprzyjaciele, którzy przed naszym przybyciem zajęli zbocza pagórków i część lasu, nie mogąc wytrzymać naszego uderzenia, zaczęli opuszczać w pojedynkę lub grupkami swe pozycje i zbiegać w dolinę, lecz widocznie z tyłu za nimi była rezerwa i dowódcy, którzy z powrotem zawracali ich na stanowiska. W wąskich dolinach raz po raz przychodziło do walki na bagnety. Nikt nie szedł w niewolę, nikt nie prosił o łaskę. Walka toczyła się zaciekła, chwilami słabła, chwilami znów wzmagała się potężnie. Nowe oddziały bolszewickie przybywały w sukurs, lecz i te nacierały bezskutecznie. Kapitan Werner zrywał się co chwila z ziemi i biegł naprzód, wołając: „Chłopcy za mną, spędźmy tę bandę z pagórków!" Wiara za przykładem swego dowódcy biegła z najeżonymi bagnetami, to znów kładła się na ziemi, otwierając ogień karabinowy. Zbocza pagórków zaczęły się powoli opróżniać z czerwonych, którzy biegli w nieładzie w dolinę wsi, tylko z prawej strony w świerkowym borze trwał bój uparty. Przebiegając po zoranym polu w stronę lasu, aby informować dowódcę III. kompanii, wpadłem pod obstrzał karabinu maszynowego, ustawionego na minarecie. Padłem na ziemię. Kule siekły starannie grudkę ziemi za grudką, zbliżając się do mnie. Byłem wtedy pewny, że przeszyje mnie nie jedna lecz kilkanaście kul, lecz — o dziwo — ostatnia kula uderzyła w grudkę tuż przy mojej głowie — i karabin zamilkł. Zerwałem sie z ziemi i jednym susem byłem już w lesie, zabierając po drodze trzy aparaty telefoniczne, porzucone przez bolszewików. Zacząłem szukać trzeciej kompanii, gdy nagle

usłyszałem przeraźliwe krzyki ze strony nieprzyjacielskiej: U-ra-aaa! uraaa!! Po łące w dół biegli nasi żołnierze. Cały już prawie las był w rękach czerwonych. Cofać się też pośpiesznie musiała 8-ma kompania z konieczności strategicznej, aby nie dostać się w krzyżowy ogień lub do niewoli. Znalazłem się nagle w przykrej sytuacji. Zacząłem biec w dół, lecz ciężkie aparaty, karabin i kule niezmiernie mi wtedy ciążyły, zabrakło mi tchu a serce zaczęło się tłuc jak opętane. Mogłem rzucić aparaty i amunicję, lecz jakiś upór zrodził mi się w duszy: nie rzucę, choćbym miał paść marnie z rąk tych psubratów — nie rzucę!

Wtem nagle jakby spod ziemi wyrósł przede mną ułan Hutten-Czapski na siwym koniu, zabrał aparaty, podał mi rękę i tak obok jego kłusującego konia szybko oddalałem się od lasu i niebezpieczeństwa.

Gdy słońce rzucało swe ostatnie błyski i kryć się zaczęło za lesiste wzgórza, byliśmy z powrotem w Tatagułowie. W bitwie utraciła 8. kompania dwóch wiarusów, kilkunastu było rannych. Noc spędziliśmy na czuwaniu, nikt nie spał, nikt nawet nie zrzucał z siebie płaszczów, oczekując ataku ze strony nieprzyjaciela. Przed wsią stały na straży dwie baterie rosyjskie z armii gen. Kappela, które we dnie skutecznie raziły kartaczami atakujących wieś bolszewików.

(Ciąg dalszy nastąpi)

A. Trybulanka (III kl.)

W dziewiętnastą rocznicę odzyskania wybrzeża morskiego.

Dziewiętnaście lat upłynęło od pamiętnej chwili, gdy w mroźny dzień lutowy wojska polskie dotarły do brzegów Bałtyku, oddając je na wieczyste władanie Rzeczypospolitej.

Pusty był ten skrawek wybrzeża przed 19-stu laty. Szare piaski pokrywały niewielkie wzgórza, gdzieniegdzie sterczała samotna sosna z na wpół wyrwanymi korzeniami, nad horyzontem unosił się przeraźliwy krzyk mew, a szum fal rozchodził się daleko po smętnym pustkowiu.

Dnia 10 lutego 1920 r. wciągnięto tu na maszt pierwszą banderę Rzeczypospolitej. Wśród gorącego entuzjazmu radosna zaczęła

się praca. Garstka marynarzy spod trzech zaborów stanęła na pustkowiu odzyskanego skrawka wybrzeża Bałtyku, by na nim stworzyć polską siłę morską. W prymitywnych przystaniach na pierwszych małych okrętach załopotały polskie bandery. I po raz pierwszy po wiekowej przerwie polskie okręty poczęły pruć sine fale Bałtyku.

Minęło lat dziewiętnaście. Spod szarych wydm piaskowych wystrzeliło stutysięczne miasto Gdynia, port o światowym znaczeniu. Powstały porty na Helu, w Jastarni, we Wielkiej Wsi. Wybrzeże zatętniło życiem i pracą. Produkty polskiego rolnika i przemysłowca znajdują łatwiejszy zbyt, kupiectwo polskie zaczyna nawiązywać kontakt z całym światem.

Po 19 latach strzegą naszego wybrzeża okręty wojenne, gotowe do ofiarnej walki o wspaniały morski dobytek Rzeczypospolitej.

Nie koniec jednak na tym. Wspólnym wysiłkiem całego narodu musi być jeszcze potężniej rozbudowywane nasze wybrzeże i nasza marynarka.

Erwin Dziaszek (I lic.)

Zakopane - F. I. S.

11.—19. luty 1939.

Tegoroczne narciarskie mistrzostwa świata zwane także zawodami Międzynarodowej Federacji Narciarskiej (Federation Internationale Skisport=F. I. S.) odbyły się w Polsce. Ich znaczenie dla sportu zimowego nie ma sobie równego w żadnej imprezie, a ich doniosłość dla kraju, który jest gospodarzem i organizatorem mistrzostw—jest zupełnie wyjątkowa.

Na Polski Związek Narciarski już po raz drugi spadło wielkie i odpowiedzialne zadanie przygotowania tych zawodów w sposób odpowiadający ich skali, a zarazem godny polskiego narciarstwa.

Dwa pełne lata trwały nasze przygotowania do mistrzostw. Objęły one przede wszystkim przygotowanie Zakopanego, które obrane zostało na widownię tych światowych zawodów. Trzeba było stworzyć w Zakopanem niezbędne urządzenia sportowo-techniczne, ale i równocześnie wykonać potrzebne inwestycje turystyczne. Wielkie bowiem zawody narciarskie—jak bodaj żadne inne imprezy—stanowią znakomitą sposobność propagandy turystyki. Dzięki też popar-

ciu rządu—przysposobienie Zakopanego zostało na czas ukończone. Pozostanie ono na przyszłość jako trwała zdobycz naszego sportu zimowego i turystyki.

Prace zostały ukończone, lecz normalne przeprowadzenie zawodów utrudniły niepomyślne warunki atmosferyczne.

Zawody F. I. S. powinny być nowym potężnym bodźcem dalszego rozwoju narciarstwa w Polsce. Powinny stać się również narzędziem propagandy turystyki polskiej i naszych terenów narciarskich wśród cudzoziemców.

Narciarskie mistrzostwa świata w Zakopanem były wielką rewią sportu narciarskiego i zgromadziły na starcie najprzedniejszych zawodników ze wszystkich krajów. W atmosferze szlachetnej lecz bardzo ostrej walki ubiegali się oni o tytuły najlepszych narciarzy a tym samym o miejsce w dziejach światowego narciarstwa. Zawodnicy polscy odegrali w tej walce bardzo poważną rolę. Dali oni z siebie wszystko, na co pozwalało ich przygotowanie i zrozumieli doskonale doniosłość startu na polskiej ziemi w obronie polskich barw.

Do Zakopanego zjechali liczni zwolennicy narciarstwa z kraju i z zagranicy. Wspaniałe bowiem biegi, zjazdy i skoki w czasie mistrzostw stały na wyjątkowo wysokim poziomie.

Fis. (I lic.)

Gawęda.

Łopowiem wam barz ciekawom i wesołom godkę, jakom poswysoł przy watrze.

We wsi, nie bocę juz ha, zył se gazda. Beł dość bogaty, wienc mioł i trochę celadzi. Słuzył jakurat u niego parobek troche głupawy, nie wiele mówiąc sietniok. W samą wiliją gaździna upiekła kilba bucht i schowała poniewtóre do sąsieka. A Pietrek—tak sie zwoł ten sietniok, zobocył, ze łostawiła kilka na wirchu. Nie wiele myślęcy łap jedną z nich najświarniejsom pod pazuchę i w dyrdy poleciał do stajni. Po drodze obziroł sie, cy go nikt nie widzioł i schował se placek do złobu, bo beł pusty. Przykrył łobrokiem, sianem, coby nikt nie znaloz.

Zadowolony z tego wrócił do izby prawie, kie zacynała sie wilija. Uciesony, ze go nikt nie uźrał, siod wedle stołu wigilijnego i

zacon jeść. Potym śpiwali gazdowie kolendy, ale on juž nie swysoł, bo posyd poźryć na placka. Beł i lezoł jak go łostawił.

Kole północka pośli gazdowie z celadzią na pastyrke, a on z nimi. Kościółek beł niedaleko ich chałpy. Stanął se Pietrek wedle wrót kościoła, coby beł pirsy z kościoła, kie bedom wychodzić.

Zacena sio pastyrka. Pietrek słucho, słucho, jak piknie śpiwajom, jas tu ksiondz zacyna śpiwać: „W złobie lezy, któz pobie...“ Pietrek wiency nie słuchoł. Wzion nogi za pas i do chałpy. Bo myślol se, ze go nikt nie dogoni, a on tymcasem schowa placek ka indziej, coby go nie znaleźli. Ale nijak nie móg se wytłumacyć, skond ten ksiondz wiedział, ze on schował go w złobie. I jesce sie pytał, kto tam pójdzie. Zacon lecieć wartko. Zdysany dopod stajni i cym prędzej porwał placek i wyleciał z nim na pole. Niedaleko chałpy stała opuscona kaplicka i tam schował placek pod figure.—Teraz mi go nikt juz nie weźmie—myślał se. I posed z powrotem do kościoła.

Pastyrka sie miała ku końcowi, kie przyseł i ledwo wloz do przedsionka, kie tu ksiondz zacyno śpiwać: „Juz sie ono spełniło co pod figurą było.“ A Pietrek zblod, ze strach, bo skond ksiondz wi. Po cichu wysunol sie na pole i juz bez pola, bez śnig—do kaplicki. Zmencył sie, bo śnig po pas, zanim dosed do niej. Zaglonda pod figure. Ło lo Boga!! Placka nima! A tu ka lezał, beło coś napisane. Nie umioł cytać, to i nie przecytał, ale zaraz pomyślał se, ze to musiał napisać jonioł z nieba. Padł na kolana i zacon prosić: „Jezusicku! jo juz nie bede krod, ino Ty mi przeboc to! Prose Cie piknie, Jezusicku!“ Potym wrócił do chałpy.

W chałpie byli juz gazdowie i syn ich Józek. Nie wiedział Pietrek, że to on podpacył go, jak kłod placek pod figure i wzion go a na kartce napisał: „nie kradnij!“ Ojcu i matce nie powiedział nic, coby Pietrka nie sprali, bo widział, jak sie sietniocek modlił. I tak poprawił Pietrka sietnioka.

Jot Es (III.)

Kronika.

Pogrzeb ś. p. prof. Stanisława Matyji. W dniu 10 stycznia br. odbył się pogrzeb profesora tut. gimnazjum ś. p. profesora Stanisława Matyji. W smutnym obrzędzie wzięła udział młodzież tutejszego liceum i gimnazjum wraz z Gronem nauczycielskim oraz liczna

publiczność miasta Myślenic. Nad otwartym grobem żegnał Zmarłego prof. Werszler imieniem Zakładu, następnie por. Gorączko imieniem miejscowego Koła L.O.P.P., w którym zmarły od wielu lat pracował i wreszcie b. wychowanek tut. gimnazjum Batko imieniem Jego uczniów. Na grobie złożono wiele wieńców.

Z działalności Sodalicji Mariańskiej. Praca w Sodalicji odbywała się w I. półroczu według ułożonego planu. Naczelnym hasłem naszym w obecnym roku jest: „Walcz o czystość!". Zebrań ogólnych odbyło się pięć. Na zebraniach wygłoszono następujące referaty: Sprawozdanie z I. kursu instrukcyjnego na Śnieżnicy—Młodzieniec a życie czyste—Podniesienie karności w Sodalicji—Więcej radości—Rozrywki i wesołość w Sodalicji.—W każdym miesiącu przystępowali sodalisi do spowiedzi i komunii św. W listopadzie wzięła Sodalicja udział w „triduum" ku czci św. Stanisława Kostki. W dniu 25. listopada 1938 r. urządziliśmy uroczysty poranek ku czci tego Patrona młodzieży. Sodalicja podzielona została na 4 zespoły, których zebrania odbywają się co 2 tygodnie. W dniu 21 stycznia odbył się tradycyjny wspólny „Opłatek" dla Sodalicji, Kółka Misyjnego i Kółka Młodszych. Różne niespodzianki pozwoliły uczestnikom spędzić parę chwil w prawdziwie miłym i sodalicyjnym nastroju.

Z działalności Koła szkolnego L. M. K. Nasze Koło gimnazjalne Ligi Morskiej i Kolonialnej rozpoczęło swą pracę w nowym roku szkolnym zebraniem w dniu 26.X, na którym został nakreślony całoroczny program pracy. Program ten obejmuje oprócz zebrań miesięcznych urządzenie obchodu 10. lutego, tygodnia kolonialnego w kwietniu, zbieranie materiałów na wystawę morską oraz ewentualne zorganizowanie wycieczki do Gdyni. Postanowiono również rozpocząć pracę w sekcjach: modelarskiej i korespondencyjnej, do których zgłosiła się dość znaczna liczba Członków. „Polskę na morzu", organ szkolnych kół LMK prenumeruje 38 członków Koła. Następne zebranie odbyło się 1. grudnia w związku z 20-stą rocznicą istnienia polskiej marynarki wojennej, upływającą 28.XI. Na zebraniu, na którym była obecna także znaczna ilość nie-członków, wygłosił kol. Dziaszek referat pt. „20-lecie polskiej marynarki wojennej", po czym wyświetlono kilkanaście okolicznościowych obrazów.

Dnia 10. lutego odbył się staraniem Koła uroczysty poranek szkolny ku uczczeniu 19-stej rocznicy odzyskania przez Polskę dostępu do morza. W wykonaniu programu wzięli udział: kol Gradek (przemówienie), kol. Śmitkowska (fortepian), kol. M. Stochówna (deklamacja), chór żeński pod batutą kol. Fijałówny i klasa IV. (deklamacja zbiorowa).

M. W.

Uroczysty poranek szkolny ku czci Pana Prezydenta Rzeczypospolitej odbył się 1. lutego jako w dzień Jego imienin. Przemówienie wygłosił kol. Wilk (IV kl.), po czym resztę programu wypełniły produkcje chóru żeńskiego i deklamacja kol. Puskarczykówny (I lic.)—

Z działalności męskiej drużyny harcerskiej. Drużyna nasza po chwilowym zastoju organizacyjnym powraca do pracy intenzywniejszej. Praca ta ujawnia się nie tylko w życiu wewnętrznym drużyny, ale i na zewnątrz. Mimo iż drużyna nasza składa się z kolegów z klas niższych, to jednak pewien rezultat pracy jest widoczny. Drużyna liczy obecnie 33 członków podzielonych na 3 zastępy. Zbiórki drużyny odbywają się co dwa tygodnie w obecności opiekuna prof. Krzyszkowskiego—a zastępów co tydzień.

Dzięki usilnej pracy drużynowego poziom teoretycznego i praktycznego wykształcenia znacznie wzrasta.

We wrześniu urządziła drużyna wycieczkę do lasu na górze św. Mikołaja, w październiku bieg na młodzika.

Na kurs drużynowych, który się odbył w Krakowie podczas ferii Bożego Narodzenia wysłała drużyna dha Alojzego Tylka.

W ostatnich dniach urządziła drużyna męska wraz z drużyną żeńską wspólną herbatkę, na którą zaproszono Grono profesorskie. Zabawa ta dzięki pomocy p. Opiekuna i Koła Przyjaciół Harcerzy udała się doskonale.

Drużyna nasza mogłaby rozwinąć o wiele pomyślniejszą działalność, gdyby spotkała się z lepszym zrozumieniem szczytnych celów harcerstwa ze strony starszych kolegów—a zwłaszcza klasy IV.

Sekretarz.

Sprawozdanie z Walnego Zebrania Gminy szkolnej odkładamy z braku miejsca do następnego numeru.

Komisja redakcyjna: *Erwin Dziaszek* (przewodniczący), *Maria Kochanówna*, *Adam Pikuła*, *Kazimiera Sieracka*, *Maria Stochówna*, *Stanisław Stoch*, *Aleksander Wilk*, *Janina Ogrodna*, *Aleksandra Trybulanka*, *Stanisław Sala*, *Jan Śliwa*.
Opiekunowie: *prof. Józef Eliński*, *prof. Ludwik Werszler*.

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.